



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spółn. kwartal. 5 marek.

KOBIETA W DOMU I RODZINIE.

Kobieta zajmowała zawsze w społeczeństwie naszym miejsce zaszczytne; w odległej przeszłości posiadała już prawo dziedziczenia dóbr ziemskich a ograniczenie tego prawa, istniejącego nie u nas jedynie, zostało uchylone już w 1420 r. Wpływ jej na rodzinę i społeczeństwo wzrastał też z postępem oświaty, co było owocem jej moralnej dostojności, która nakazywała szacunek i zaufanie, a choć spotykamy się nieraz w starej literaturze naszej z ostrą przeciwką kobiecie satyrą, jest to rzeczą w stosunku do ogółu wyjątkową; i tu nawet uwidatnia się jej żywotność, jej działalność wśród rodziny, uność, jaką mężowie pokładali w połowicach swoich, a samo to wyrażenie już wykazuje znaczenie kobiety małżonki w stosunku do męża, którego istoty moralnej była połową. Uznanie znaczenia kobiety spotykamy w wyrażeniu gniewnej dla takiego stanu niechęci jakiegoś mizantropa w dziele: „Żona wyćwiczona“, w którym woła cierpko: „O takich rządzichach nigdzie pod słońcem nie słyhać, jedno snąć w tej częstce Europy u Polaków, że i po śmierci czynią je mężowie paniami we wszystkim“.

Znaczy to zaufanie męża w rozum, oraz i wiarę jego w moralną dostojność żony, a nie tylko ten kochający tak czyni. W 1535 r. Glaber z Kobylina dzieło swoje o zachowaniu zdrowia ludzkiego dedykuje Jadwidze z Kościelca z tym dodatkiem, że dlatego skreślił je w języku naszym, nie po łacinie, aby było dostępnem dla kobiet, co znaczy, iż uważa tu kobietę za ważny czynnik w życiu rodzin wewnętrznym, i stara się, aby stanąć jej tu do pomocy. A nie on jeden tak to pojmuje. Łukasz Górnicki w dziele swoim „Dworzanin“ daje

znaczne miejsce kwestyi oświecenia kobiet. Jest to zużytkowaniem włoskiego dzieła Balcera Castiglione, przecie z charakterystycznymi zmianami wagi wielkiej w stosunku pojęć pisarza tego o kobiecie. Usunął on wiele rzeczy, które nie chciał kobiety naszej „pocziwych uszów obrazić“, co zarazem dowodzi, że i potrzeby tego smutnego moralizowania nie było i kobieta nasza posiadała też powagę taką, że często wdowy jako spadkobierczynie dożywotniczki zarządzały starostwami, z wyłączeniem jedynie pogranicznych, gdzie wznosiły się zamki i fortece broniące od napadu zwłaszcza Tatarów lub Turków, choć przyznać trzeba, że drugostronnie protestowano przeciwko temu, aby kobieta zarządzała własnością publiczną, co przecie nie było bynajmniej poniżeniem jej godności obywatelskiej, lecz tylko względem na inne jej przeznaczenie wśród ludzkości. Dlatego też wychowanie, oświecenie umysłu kobiety musiało dążyć inną drogą, z celem przecie jednym, aby odpowiedzieć zadaniu obowiązków swoich, a choć nie chciano czynić z biogłowy męża, jednak wyrabiano ją tak duchem jak i ciałem, aby umiała sobie radzić w potrzebie wymagającej odwagi i hartu, jak to poświadcza historia nie tylko przez pewne obrazy mężstwa i odwagi wśród niebezpiecznych starć tych dawnych wojowniczych czasów, ale przez potrzebę radości, stanowczości i siły nawet fizycznej, gdy mąż dla obywatelskich obowiązków swoich gdzieś daleko przebywał.

List matki króla Jana pisany do córki swej Katarzyny, małżonki księcia Dominika na Zaslaviu i Ostrogu, zawiera rady i przestrogi nie tylko bardzo poważne, ale pisane z taką jędrną prostotą słowa, która wykazuje, iż kobiety owego czasu umiające kochać, jak tego dawały dowody życiem swem całem, posiadały pewną jędrność uczucia, która dowodzi większego hartu i mocy ducha, niż emancypantek dzisiejszych przedzierzanie się bezowocne w męczyznę. — „Nie mogłam jako

z tobą za prędkim naszym odjazdem się rozmówić — pisze — rozkazałam też przez Imci panią Warszycą kilka słów skreślić do ciebie. Pewnam tego, że się na tych nowoosiedlinach tak sprawować będziesz, aby nie rzeczone, żeś dlatego była dobra, iż się mnie bałaś; teraz trzeba pokazać, że masz to z wrodzonej cnoty swojej, aby był Pan Bóg pochwalon, a co najpilniej proszę, abys nie omieszkiwała chwały Jego, każdego dnia pół godziny to odprawiaj, a wielce Pan Bóg szczęści i od wszystkiego złego broni, kto Mu się przez jakie nabożeństwo oddaje. A księcia Imci pana małżonka swego czej jako najbardziej, szanuj, służ mu, słuchaj więcej jeszcze niżeli mnie, bo ja się dosyć kontentuję powolnością twoją, a chcę, żebym i ja sromoty a ty nagany nie odniosła. Choćby się też co zdało niepodobnego, niezem ci nie należy przeciwieć się jemu, bo masz wolę nie swoją, ale starszych czynić a dobremu nie jest nigdy źle.“

„Jejmość panią Warszycą też jako życzliwą naszą przyjaciółkę szanuj, radz się jej i słuchaj jako mnie, bo ty jeszcze nie możesz tak wiele rozumieć rządu domostwa swego, aby było między czeladzią jak nauczciwiej, najskromniej i najczyściej czegoś się u mnie napatrzyła, a że się to podobna ludziom statecznym nie wątpię, że i Panu Bogu. Więc około rzeczy twych, aby też było szanowanie, nie spuszczaś się tak dalece na sługi, dozoruj, nie leń się, a zostawiłam ci tam i regestr tego, co ci się dostawało. O łaskę i miłość ludzką się staraj, uniżoność nikomu nie zawadzaj, a choćbyś i wiedziała o nieprzyjacielu, oddawaj mu dobrem za złe. Prędej zwyciężysz owo złe według woli bożej żyjąc, a także i bożą łaskę sobie zjednasz i odpłatę, w czem ci niech Bóg błogostawi, Jego świętej woli cię oddawam“.

List ten, pisany z rozumem i zarazem z uczuciem serca tklivem, a niemniej mężnem, przedstawia matronę dostojną, pojmującą życie z jego stron podniosłych, z punktu obowiązku, a nie jest

ona bynajmniej wyjątkiem wśród społeczeństwa swego, i możnaby wiele takich przykładów przed oczy czytelnika postawić: kobiet razem dzielnych i umiejących czuć silnie, nieschodzących z toru życia niewieściego, a które jednak tak potrafiły uzdolnić się sercem i umysłem wśród obowiązków u domowego ogniska, że gdy przychodziła chwila jakaś wyjątkowa, probująca hartu ich ducha, nie brakowało im sił, aby spełnić to, „co każe duch boży”. Umiały też być dobrymi gospodyniemi; ze szczegółów mieszczących się w starych dyaryuszach można twierdzić, że gospodarstwo dawnej kobiety naszej nie było bynajmniej na niższej niżeli dziś stopie. Sady, ogrody, dostarczały owoców, len i konopie dawały włókna, które przerabiano w domu na płótno, owce dostarczały wełny, a ta kruszona równie w domu dawała materiał na suknie powszednie, na tak zwane wełniaki, jakie dziś jeszcze spotykamy u kobiet wiejskich.

Ogrody owocowe i warzywne były źródłem dochodu; szczególnie z okolic Krakowa i Sandomierza spławiano je do Warszawy, do Gdańska, a ślad tego znajdujemy w korespondencyach młodych małżonek z matkami, żon z mężami, gdy im potrzeba obywatelskich obowiązków kazała się poza dom wywalić. Agnieszka Młodziejowska pisze w 1589 r. do męża, dla publicznego obowiązku poza domem czas dłuższy przebywającego, iż wyprawi wkrótce drogą wodną na szkucie dwanaście beczek malin, a pani ta młoda tęskni do męża, snadź gorąco ukochanego, wyraża też to uczucie swoje w liście, niespokojna, iż wieści od niego nie ma dawno, niemniej uważa to sobie za obowiązek, aby zdawać mu sprawę nie tylko z gospodarstwa domowego, które na dział jej pracy przypada, ale i z meżkiego. Szczegółowo, dokładnie wypisuje mu jaką jest wydajność omłacanego zboża, jak co obrodziło się w polu, w ogrodzie, lecz skończywszy z tem, co uważa za powinność naczelniczki domu i matki rodziny, odzywa się jako kobieta kochająca, małżonka tkliwa, i pisze: „Dla Pana Boga proszę, szanujże waszmość zdrowie swoje, nie czyniąc sobie zbyt wielu pracami gwałtu, chroń się też i biesiad, bo musisz tam waszmość pić więcej niżeli trzeba, nie jesz też smacznie jeno gdy ostygnie a doma możesz waszmość lepszego wczasu użyć według potrzeby zdrowia...”. Wzruszającą jest też ta prostota przy wyrażeniu miłości tkliwym, który wykazuje, że to serce kobiety kocha silnie, że jej myśl troskliwa jest wciąż przy ukochanym, ale zdrowa moralnie i kochająca nie samolubnie, nie poddaje się żalom daremny i dni tęsknoty zapelnia obowiązkami — pracę wiąże praktycznie z celem ukochania swego i pisze dalej: „Będiesz waszmość miał dalibóg do czego przyjechać, jedno w dobrem zdrowiu, a proszę rychło. Dajże mi przecież waszmość znać kiedy przyjedziesz, abym zajechała drogę, a z łaski boskiej tak zdrowa jestem, żebym i do Inflant z takim zdrowiem jechać mogła, bylebyś waszmość rozkazał”.

Jest tu zawarty w tym liście obraz małżonki doskonałej. Serce jej umie kochać dobrze, bo nie tylko tą miłości stroną bierną, która się w wyrazie tkliwości miłosnej zawiera, ale staje obok ukochanego do wspólnego dźwigania ciężarów życia, których połowę na swoje barki bierze. I ciągnie się przez wieki łańcuch ten, związany z cnotą i społecznego znaczenia pracy kobiet, które u domowego ogniska pracę tę spełniając, były nie tylko dobrymi żonami i matkami, ale i obywatelkami, bo zamożność pojedynczych rodzin składała się na majątek ogółu a i one same uszczęśliwionymi były, nie tylko przez dobrobyt, jaki sobie prawowicie wytwarzały. Czując się użytecznymi szanowały ten swój wydział pracy wśród ogółu, bynajmniej tem nie upokorzone, że nie są identycznie tem, co mężczyzna. Postęp nowożytny usiłuje w całym zakresie pracy czynić ją doskonałą przez podział i to jedynie stanowi jej wyższość, lub niższość o ile jest pożyteczną dla społeczeństwa, a czyż to społeczeństwo nie potrzebuje dobrych, szlachetnych wychowawczyń pokoleń, które przyjdzie po nas — czy nie potrzebuje pracowitej strażniczki mienia rodzin: żony, która dzieląc z mężem złe i dobre, żyć mu pomaga?

Stanowisko kobiety u domowego ogniska jest zatem o tyle zaszczytne przez celowość swoją, o ile zaszczytnem stawiać się może to co do ogólnego dobra się przykłada, i wyższe wykształcenie umysłu w niczem wśród życia nie przeszkadzając kobiecie czyni ją jedynie doskonalszą w wykonywaniu obowiązków, których znaczenie pojmuje. Każda istota ludzka, jeżeli chce być szczęśliwą i użyteczną, potrzebuje żyć tak głową jak sercem, to jest rozumem i uczuciem, a oba te pierwiastki, nie kłócąc się bynajmniej ze sobą, wykazują jej, że wszystko, co dobru ogólnemu służy, co się do dobra ogólnego przyczynia, jest dostojnem i czciogodnem, trzeba tylko, aby z tą myślą wykonywaną była rzecz wszelka, do której przykładamy rękę.

M. I.

DWIE NOCE.



W pogodną noc,
Gdy cudny Maj na świecie,
Miłością drży
Krzew każdy, każde kwiecie.
Konwalia coś
Fijółkom szepce skrycie,
Dokoła wre
Czarownej wiosny życie, —
Śpiewaków król,
Czarodziej naszych kniej,
Powtarza wciąż:
„Pokochać, luba, chciej!”
I śpiewem swym
Zachwycę ziemię całą,
Fijółków rój
I konwalię białą.

W burzliwą noc,
Gdy jesień już nastanie,
Z wierzchołków drzew
Dolata wron krakanie
Nad ziemią się
Unosi zastęp kruczy,
Jak dziki zwierz
Wiatr wyje, wre i huczy
A w wyciu tem,
W krakaniu dzikiem wron,
Rozróżniasz dźwięk:
Skon wiośnie, szczęściu skon!...
Czem głębiej się
W te dźwięki człowiek wsłucha,
Tem większy ból
Przenika jego ducha.

Selim.

POGA WĘDKA.

Minęły już dawno te czasy, kiedy nasze dziennikarstwo prowadziło między sobą zawziętą, polemiczną walkę, w której oczywiście prym wiodła, tak zwana wówczas „młoda prasa” z *Przeglądem Tygodniowym* na czele. Broniono z zapałem swoich przekonań, swojego sztandaru, pod którego znakiem miano cudów dokonać i zmienić oblicze świata. Do czego się doszło, jaki rezultat był tego zaciętego boju, wiemy o tem oddawna,

jednej tylko zasługi nie możemy szermierzom odmówić i bardzo doniosłej, mianowicie tej: że zalewając sadła za skórę spoczywającym na laurach minionych zasług dziennikom, tygodnikom i miesięcznikom, na których „korze pęknięcie serca znać było” a pył starości przykrywał strupieszale oblicza — temi ciągami wymierzonymi wprost w grzbiet obnażony, tem bezlitościem ściąganiem rzymskiej togi z patrycyuszów i zabieraniem sobie krzesel kuralnych — rozbudzo staruszków z dotychczasowej ich drzemki, którzy, czując bolesne uderzenia i widząc grunt usuwający się pod swoimi nogami — przypomnieli czasy dawnej swej młodości i w obronie zagrożonej pozycji do walki stanęli. Lecz dużo okazało się niedostatków: brak ludzi, brak oręża był wielki. Zaczęto więc zapelniać szeregi, kuć broń nową, ażeby móżdż godnie nieprzyjacielowi odpowiedzieć.

Zawrzała walka...

Ale po czyjej stronie zwycięstwo zostało?

Mniejsza!

Na tym sporze prassy starej i młodej — zyskało społeczeństwo. Pisma, zasklepione w zbyt już przestarzałych poglądach swoich, dużo nowego życia wchłonęły w siebie, nie odstąpiły nie ze swoich przekonań, ale je zmodyfikowały znacznie i niejednokrotnie oręż z rąk zacieklego w ataku młodzieńca wytraciły. Walka była skończona, dwa sztandary mogły spokojnie obok siebie powiewać, szanując się nawzajem i — choć na dwóch odrębnych zagonach pracując, do jednej stodoły zwozić plon swoich trudów. Zapomniano jednak, że wszystko ma swój koniec, nienawidzi nawet. Nie można po koniu to po *holoblach* tłuc zaczęto. Walka o idee była już nie na miejscu, wzięto się do samych twórców tych idei. I był czas, że szlachetna potyczka zaczęła w uliczną burdę się zmieniać; dotykano osobistości, wydobywano nieraz tajemnice życia jednostek, z ogólną sprawą niemającą związku i wystawiano je na widok publiczny. Najbardziej na tem ucierpiała krytyka. Nie dzieło, lecz pisarz służył za cel pocisków; obóz przeciwny odpłacał tą samą bronią i taka bijatyka trwała lata całe, niejednokrotnie kończąc się u sędziego pokoju. Czytelnicy zrazu odurzeni zawziętością przeciwników i rozweseleni ostrzami dowcipów po stronie tego lub tamtego stawiali obozu. Pisarz potępiony przez pismo A, nie znajdował miru u zwolenników pisma B — i naodwrot. Ale powoli przejadła się i spowszedniała zbyt długo trwająca szermierka i po bliższej rozprawie spostrzeżono, że przedmiotem napaści był człowiek nie owoc jego trudu. Zatrąbiono do odwrotu, tylko, że tego marszu w tył dokonali czytelnicy, a nie zacierzwione w polemicznej i krytycznej walce pisma.

Przysłowie powiada, że niema złego, co by na dobre nie wyszło. I tym razem to dobro ukazało się; skorzystała zeń jeno czytająca publiczność — straciły zaś pisma; ucierpiała ich powaga i nikt już na wiarę słów ich złamanego szelaga dać nie chciał. Naprawdę już krytyk z obozu B. z błotem mieszał przeciwnika — nie powtarzano za panią matką pacierza: Czytelnik nie wierzył już w najostrzejsze pociski, irytowały go osobiste docinki, osławione dzieło brał sam do ręki, czytał i bez powoływań się na powagę recenzenta — własny sąd o niem wydawał. I doprawdy, nie masz może drugiego społeczeństwa, w którymby taki rozdział panował między krytykiem a czytelnikiem. Ten swoje, a ten swoje. Książka potępiona przez zoilów, zyskuje uznanie ogółu — autor nie lubiony przez krytyków, placąc go dobrze znajduje nakładcę. Rzadko mi się już dzisiaj zdarzyło spotkać czytelnika, któryby wzięwszy do rąk jaką książkę zapytał: a co o tem krytyka mówi? On sam osądzi, a czy osądzi źle czy dobrze, żaden go już recenzent nie przekona. Dużo mamy tych panów do rąbania, ale zaledwie kilku cieszy się szczerem uznaniem publiczności. I choć minął oddawna ferwor zacieklej napaści, choć starzy odmłodzili się, młodzi postarzel — powaga słowa dotąd w pismach naszych właściwego sobie nie może miejsca odzyskać.

Tak więc, ze szkoda w pewnej części dla dziennikarstwa, zyskał ogół, bo, jakkolwiek *vox populi non est vox Dei*, nauczył się samodzielnie myśleć i lepiej na farbowanych poznawać się lisach. Jak

zauważyliśmy tedy, na początku dzisiejszej naszej pogadanki, czasy zajadłych polemik ustały, kierownicy pism albo się znużyli, albo ustatkowali. Aż oto dwa naraz pisma zjeżyły się przeciwko sobie i dały nam widowisko, jakiego od dość dawna nie widzieliśmy. Kto zaczął i dlaczego zaczął; po czyjej stronie słuszność głównych wywodów spoczywa, po czyjej nieprawda?—nie nasza rzecz sądzić w danej chwili. Nie stajemy też tu w obronie nieczyjej.

Nie chodzi nam tu o wspomnianą wyżej polemikę, ale o sposób jej prowadzenia. Obustronna zawziętość przekracza często granice przyzwoitej dyskusji i zamiast argumentów miazdzących nieprzyjaciela siłą prawdy i nieodpartą mocą dowodów—używa szpilkowych ukłęk, zjadliwych wycieczek przeciw osobie, nie rzeczy samej; nikogo nie przekonywa, niczego nie uczy, daje tylko zły przykład, zachęcając do niedobrego naśladownictwa. Powaga pism, używających broni podobnej, znowu na szwank narażoną zostaje—w łonie społeczeństwa wytwarza się niezdrowy ferment.

Zarzut pędzi za zarzutem, a spokojny czytelnik pism obu na dalekiej siedzący prowincji, do którego ucha nie wpadła żadna ploteczka czy nie ploteczka po bruku warszawskim krążąca, nie wie sam, co sądzić o waśni, wzrusza ramionami, gorszy się, nie przekonany argumentami wiatrem wydetem. Albo walka powinna być prowadzona z godnością, bez cięć ukrytych i rzucania podejrzeń, albo, gdy pewny siebie, chwytam byka od razu za łeb i przypieram do muru. Takie zakończenie sprawy, nie pociągnie za sobą zgorszenia, przeciwnie, zwolennicy tego czy owego pisma, widząc jego oblicze bez maski, nie będą się już w sądzie o swoim ukochanym.

Podnieśliśmy tu ten zatarg zacietrzewienia się polemicznego, jako złe, które znów zakiełkowało po wielu latach drzemki, podnieśliśmy w obawie następstw—zaraźliwości zła tego.

Spełniwszy, co należało do nas, jako do kronikarza, przejdźmy teraz do innego przedmiotu, nie dziwiąc się wcale, że i w naszym spokojnym życiu, w murach upiększającej się coraz Warszawki, spalono kilka trzaskających fajerwerków. Niby to gdzieindziej lepiej się dzieje? Nietylko krewki Japończyk, silną dłoń wziętą z mamuciałego w kilkunastu wiekowej mądrości Chińczyka za warokoz spleciony, ale i daleki Mars, ten liliput w stosunku do naszej ziemi, jakieś ogniste figle wyprawia. Dawno już zauważono, że na tym odległym od nas świecie, w pewnych odstępach czasu, jakaś olbrzymia odbywa się iluminacja, ale obecnie pan Mars z niezwykłą okazałością wystąpił, tak dalece, że zaniepokoił umysły spokojnych ziem naszej mieszkańców.

— Mars w płomieniach! zabrzmiał okrzyk, trwożny już przez samo zestawienie wyrazów, a cóż dopiero, gdy wieść ta została poparta przez pana Kamila Flammariona, którego, jak wiadomo od tak dawna już ten planeta niepokoi. Różne przypuszczenia były dotyczące się owych tajemniczych ognisk, niektórzy widzieli w nich oświecone góry wierzchołki lub światła odbite od chmur w atmosferze Marsa. Ale, pomimo tych prawdopodobnych przypuszczeń, Mars się urządza tak, jakby drwił sobie z różnych teorii wygłaszanych przez mężów nauki.

— Światła, powiadacie, niech sobie będą światła, ale, jak kanały moje, swojemi równoległokami i dobrym rysunkiem trójkątów zabiły już wam klina w głowę, tak i moje ognie, z pewną geometryczną symetrią rozsiane na zdumiewająco olbrzymiej przestrzeni — płaczą nieco wywoły wasze.

I rzeczywiście, rozpatrując te pasy świetlne, niektórzy astronomowie, lubiący popuszczać wodze swojej fantazji, jak Flammarion, zaczęli w ogniskach tych dopatrywać dzieła rąk ludzkich. Jeżeli kanały podsuwały myśl o wysoko stojącej inżynierii na Marsie, dla czego nie przypuszczać, że i ten świetny a o liniach wcale symetrycznych fajerwerk, nie jest równie wynikiem jakiejś pracy rozumniejszych może od nas istot? Oczywiście, że trudno przypuszczać, ażeby tego rodzaju widowisko urządzone było na przyjęcie jakiegoś mandaryna marsowego: nieco szlachetniejszy cel widzi w tem astronom francuzki. Według jego

zdania, nie są niczem innem światelka owe, jak tylko znakami telegraficznymi, przesyłanymi, Bóg wie za pomocą jakich przyrządów, przez wysoko stojących w nauce marsiarzy, a pragnących bliższą znajomość z ziemianami zawrzeć.

Ale cóż?

Jakkolwiek ziemia o dwa razy przeszło jest większa od Marsa, za to dwa razy od niego...

A fel!

I ja powiem, że: fel! lecz jeżeli domysł uczonego Francuza jest prawdziwy — to, panie dobrodzieju, nie inaczej jakoś wychodzi.

Pocieszymy się jednak — większość astronomów tego brzydkiego przypuszczenia nie czyni. Mars jeszcze nie dorósł do ziemskiej doskonałości; gdyby to nawet były sygnały, to: zajęcie już tak olbrzymiej przestrzeni pod ogniska, czy pod przyrządy, za pomocą których świetne smugi chciało w przestrzeń aż do nas rzucić — byłoby właśnie dowodem, że mieszkańcy Marsa są „chyba barbarzyńcami“.

— Dla czego?

— A no — ja nie wiem dla czego — tak jedno z pism warszawskich orzekło.

Kto wie jednak czy wkrótce szczerzej nie dowiemy się prawdy. Ze wszystkich obserwatorów świata oddawna olbrzymie teleskopy zwrócone są w niebo, na którym coraz jaśniej świeci, dla oka nieuzbrojonego, gwiazdka mała, nieruchoma, a czerwonym palącą się płomieniem. Dnia 20 Października intrygujący Mars będzie najbliżej ziemi, i — jeżeli chmury ziemskie nie zakryją niebieskiego stropu — może ciekawa zagadka, choć w części rozwiązana zostanie, a tych zagadek tak dużo jest na ziemi i na niebie.

Świeży wypadek, jaki się zdarzył na Węgrzech, na zamku Tossir, nie jest tego dowodem? Panna Ella Salomon, z którą hypnotyzer Neukomm prawdziwe cuda czynił — w chwili takiego snu umarła. Nie śmierć tu nas zastanawia, ale doświadczenie, którego był świadkiem d-r Vragassy z Wiednia. W czasie hypnozy Ella, właściwie jej Psyche, przeniosła się o mil kilkadziesiąt, opisała z całą dokładnością i ścisłością naukową stan chorego, o którym właśnie pytano i mówiąc: „Przygotowujecie się do katastrofy“ wydała okrzyk i runęła martwa.

Biedna dusza, wygnana z ciała, nie powróciła już do swojego mieszkania.

Wypadek ten i poprzedzające niezwykle jasnowidztwa objawy — zainteresowały uczonych. Rodzice Elli wytoczyli proces Neukommowi, wykopano trupa, poddając go sekcijnym badaniom — ale czy to wyjaśni zagadkę odłączenia się Psyche od ciała, czy — palącą dziś kwestyą — o krok jeden naprzód posunie? — Zdarzenia jednak podobne hypnotyzmu czy, za ryczałtowo przez niektórych potępianego, medyumuizmu — nie powinny iść w zaniechanie. Kto wie, czy coś nieznanego w zagadkowym nie zbliża się do nas obliczem, czy wiek XX nie będzie posiadaczem jakiejś olbrzymiej prawdy?

Jednak — jeżeli w tych wszystkich objawach nie masz bezcelnej obłudy, sprytnego a bezecnego kłamstwa; jeżeli stwierdzonem zostanie pukanie stołów, tajemnicze przesuwanie się sprzętów, cienie czy duchy, czy jakkolwiek nazwiemy pojawiające się i znikające postaci; jeżeli będziemy mogli za pomocą rąk przenieść ból z osoby na osobę, uzyskać wpływ nad nią i dręczyć ją przez odległość — jeżeli to wszystko stanie się matematyczną pewnością, cóż powiemy wtedy o średniowiecznych czasach, o Cagliostroch czy wiedźmach z Makbeta? — Czy legendy o starych zamkach, o dworach opuszczonych z powodu tajemniczych pukań, szelestów, otwierania się drzwi zamkniętych, dźwięków na nieruszanych oddawna instrumentach — nie upomną się u nas o przynależne sobie miejsce w dziedzinie prawd? czy tylko halucynacyom zmysłów przypisywać będziemy widzenia prostaczków, którym dziś nikt wiary nie daje? — A przecież to, co było dawniej, pojawia się i teraz, tylko, że obecnie osobniki usposobione medyumicznie w opiekę swoją bierze nauka — dawniej brał kat. Gdy te objawy są właściwością pewnych, nie często pojawiających się organizmów — ciemnota wieków średnich niszczyła je bezlitośnie. Dziś, przy złagodzeniu obyczajów,

spotężnieniu umysłów, szczególne owe osobniki, coraz częściej powinny się zjawiać. Zdaje nam się, że niezbyt długo będziemy czekali na słowo nauki. Jeżeli nam całej nie odkryje zagadki, stwierdzi fakt niezwykle, lub — udowodni oszustwo.

Wspomniawszy o złagodzeniu obyczajów, które jest dorobkiem cywilizacyjnym nie krótkich lat, a którego powinniśmy strzedz jak oka w głowie, albowiem łatwiej, niż się go nabyło, stracić można. W człowieku w dużej dozie jeszcze pokutuje zwierzę, i od czasu do czasu ostrza swych pazurów pokazuje. Zdawałoby się, że widok krwi powinien już dzisiaj wstręt wzbudzać, a jednak, jak się człowiek łatwo do tego widoku przyzwyczaja, jak usunięty od widowiska gniewa się i burzy!

Wiemy, że barbarzyński zabytek walki byków pozostał tylko w Hiszpanii, wiemy z jakimi oklaskami przyjmują tryumfatora, bez względu czy jest nim człowiek czy zwierzę; prawie jednak zawsze ofiarą zżeczności ludzkiej nieszczęśliwe bydlę pada. Coś potwornie upajającego jest w tej krwi, w której zwierzę się broczy, w męczeńskim jęku, w dreszczu śmiertelnym, gdy tkliwego serca kobiety choć błędną i drżą przerażeniem owiane, a jednak z zapartym oddechem śledzą ruch każdy konającego zwierzęcia, woń krwi wchłaniają w siebie i nie dadzą się odprowadzić albo zasłone na wylekłe oczy rzucić. Gdy wreszcie zwierzę z dwoma ostrzami utkwionymi w łopatkach nóg przednich, ranione pada na ziemię, wydając technicznie ostatnie: rozbrzmiewa szalony grzmot oklasków, w jakimś uniesieniu niepojętem uderzają dłonie przed chwilą blizkich zemleń niewiast, i fala krwi powraca do twarzy, a uśmiech na usta rozpalone gorączką.

Wstrętne igrzysko powinno być zakazane prawem — ale Hiszpan bez walki byków żyć-by nie mógł, to stało się drugą jego naturą, koniecznością równającą się potrzebie źródłanego napoju.

Lecz od lat niewiele w swobodnej Francji, gdzie wszystko wolno — niewiadomo z czyjego natchnienia, tu i tam spróbowano krwawych igrzysk. Śpiące zwierzę obudziło się w człowieku — złe instynkta górę wzięły nad rozumem i tą litością, którą przecie wpaja się w umysły dzieciinne, zakazując dręczyć zwierzęta, odrywać skrzydła muchom i motylom. Za szybko jednak w południowych prowincjach Francji zaczęły się rozpowszechniać walki byków, gdy minister spraw wewnętrznych okólnik wydał, zabraniający urządzania walk podobnych. Zakaz ten wywołał wielkie oburzenie, a rada miejska w Nîmes wystąpiła z przedstawieniem do ministra, prosząc go o odwołanie rozkazu, motywując żądanie swoje tem, że walki byków ściągają wielką ilość gości obcych, są więc źródłem niemałych dochodów dla miasta.

I to — w przededniu dwudziestego wieku!

W tym samym czasie drugi wyszedł rozkaz od naczelnika policji monachijskiej, tylko, że skierowany ku całkiem innemu przedmiotowi. Tu już nie biedne byki w opiekę zostały wzięte, ale nieszczęśliwe uszy mieszkańców kamienie, w których znajduje się za wiele artystek grających na fortepianie, właściwie uczących się grać dopiero i egzerცytujących się w chromatycznych gammach i innych podobnych tym pięknościach. Mocą tego nakazu, osoby grające na pięciu klawiszach, albo co drugi klawisz, do góry i na dół idącymi tercyami, obowiązane są grać przy zamkniętych oknach, aby nie przerywać spokoju publicznego i nie niepokoić sąsiadów. Osoby — jak brzmi dalej błogosławiony dokument — upornego charakteru, będą pociągane do odpowiedzialności sądowej.

Czy macie co do zarzucenia temu projektowi — (oczywiście tych tylko pytam, którzy nie grają chromatycznych gam)? Ja przynajmniej najmniejszego bym *reta* nie postawił i sam, osobiście z całą galanterią i pośpiechem zaniósłbym podobny okólnik do mojej sąsiadeczki z przeciwka, która, jakby się uwzięła na mnie, i — punkt o północy, gdy zasiadam do biurka — zaczyna z góry na dół to z dołu do góry jeździć po fortepianie.

Wspominało się o tem, to o owem, co fala myśli przyniosła, co było gotowe pod ręką, a nie prawie nie powiedziało się o Warszawie, ale bo też i nie wiele o niej w danej chwili powiedzieć można. Nie możemy jednak pominąć pewnego, zdaniem naszym, nieobojętnego przedmiotu, który niepodniesiony we właściwym czasie lub pominięty milezieniem, mógłby pewną szkodę społeczeństwu wyrządzić.

Od lat kilku, dzięki zajęciu się ludzi dobrej woli i ofiarności ogółu, powstały u nas kolonie letnie, cieszące się powszechną sympatją. Jakkolwiek żadne dzieło rąk ludzkich, nie może być doskonałym, działalność dotąd komitetu zajmującego się sprawą biednej dziatwy, jako też program zabaw i zająć tej ostatniej, nie uległy sądowi. Aż oto podniósł się głos p. E. Kańskiego, który na białej karcie czarną plamkę dopatrywał, i podał do wiadomości, że nie wszystko tak dobrze się dzieje w owych koloniach, jak myślano dotąd. Powodem oskarżenia, był odczytany przez owego pana dzienniczek ośmioletniego chłopaka, który zapisał sobie, że wieczorem „pacierz mówiliśmy: Ojcie nasz, Zdrowaś Marya, Wierzę, Anioł Pański, pieśń wieczorną. O „ofiaruję“ nie zapomnę—dodaje, co wieczór i co rano mówię“.

„Tyle modlitw naraz!—woła zgorzchny p. Kański. Ciągnie się to do trzech kwadransy. To już nie religijność a — (ładna polszczyzna) dewocya. Co na to powie racjonalna pedagogika?“

A cóż ma powiedzieć, jeżeli nie to, że p. Kański zapomniał już, jak mogą trwać długo owe kolosalnych rozmiarów pacierze. Jednak, powyższe słowa zwiędzającego kolonie letnie pocieszyły nas. Nieźle tam dzieć się musi, jeżeli innego zarzutu p. Kański znaleźć nie mógł, a widocznie, że chciał,—ukreślił więc sobie bicz z piasku i na wiatr nim palnął.

— Trzask!...

Zabaweczka nie nieszkodząca.

Doskonałą za to „kartkę z dzienniczka dozorczyńi“ drukuje w felietonie „Przegląd pedagogiczny“. Co to za świeatek ciekawy, ten świeatek dziecienny. Kartki owe, pisane widocznie przez dozorczyńię dziatwy dla siebie tylko, bez żadnej literackiej pretensyi, wiele, bardzo wiele poważnych myśli nasunąć mogą. Widzimy tak sporą gromadkę ludzi, którzy kiedyś, bądź co bądź, jakieś miejsce w społeczeństwie zająć muszą—lecz czem będą, jakimi będą—odpowiedź trudna!

Z notatek tych widzimy tylko—(ciekawi jesteście dalszego ciągu), że złe instynkty przeważają. Brak widocznie jest tam moralnego przewodnika, brak rozumnej opieki matki, serdecznego jej ciepła. Smutne robi wrażenie ustęp o chorém dziecku, z którym dozorczyńia zawiązała rozmowę: Oto jej słowa:

„Jedenaście lat dziecko, a tyle goryczy, żalu do ludzi—biedne serduszko, a matka nierozsądna, aby przed dzieckiem rozwodzić swe żale“. „Jest to stare dziecko, żyje w otoczeniu, w którym niczem się przy dziecku nie krepują. Twierdzi, że pieniądze najwięcej znaczą w życiu: kto bogaty, tego wszyscy kochają i szanują“.

Czy to nie dramat, który odgrywa się w duszy zbolatego dziecka? czy myśl się nie nasuwa każdemu, kto ma serce, że oprócz chleba dla ust, powietrza dla płuc schorzałych, potrzeba jeszcze duchowego pokarmu? Filantropia ma ogromne pole przed sobą, tam powinny być skierowane jej usiłowania i ofiary.

W liczbie tych malców krzyczących, upartych, złośliwych, śmiejących się z łez obcych, drwiących z pacierza nawet, są i dobre serduszka, dusze pocziwe. „Dr. Markiewicz dla tych jest Bogiem“.

Nie wyszukiwać więc zła, gdzie go niema, lecz wszelkimi siłami poprzeć tę zacną instytucję należy. Jak ona ogólnie zyskała uznanie, niech będzie malutkim dowodem parę jeszcze słów wymienionego wyżej dzienniczka.

„Po drodze stajemy w Jedlinku, żydówka wszystkich poi mlekiem i—zapłaty za to nie chce“.

To charakterystyczne, dla wielu nawet pouczające.

??

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANĘ GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg).

XVI.

W parku Bielowskim na wzgórzu, wśród wspałałych drzew i krzewów, artystycznym gustem Haliną urządzony został pawilon. Niczego nie brakło, co służyć mogło do wygody, lub upiększenia tego uroczego zakątka.

Chory Bielowski został tam przeniesiony na całe lato.

Upał był dokuczliwy. Żarem piekła ziemia, żar płynął z nieba. W pawilonie story były spuszczone; chory spał.

Halina siedziała przy ojeu, rozmawiając z drem Olskim, częstym teraz gościem w Bielowcach. Stary doktor porzucił już prawie praktykę. Należał się odpoczynek niestrudzonemu dotąd pracownikowi i wiek upominał się o swoje prawa. Samotny, pozbawiony uciech rodzinnego życia, teraz, gdy mu praca braku tychże nie osładzała, tygodnie nieraz całe przesiedział u Bielowskich, zatopiony w książkach, obserwując pilnie chorego i szukając środka ratunku dla przyjaciela, którego szanował i kochał głęboko. I do Haliny szczerze się przywiązał; dzieckiem jeszcze była, gdy szczebiot jej i figlarne minki, szczególny miały dla niego urok. Gdy piękny charakter dziewczęcia rozwinął się w całej pełni, doktor, na punkcie doskonałości cnót niewieściwych wymagający bardzo wiele, innem nieco, niż braterskie lub ojcowskie, pokochał ją uczuciem.

Ciche, niezem nie objawiające się nazewnątrż, bez pragnień, bez przyszości, miało jednak dla niego czar wiosenny. Nigdy, w młodości nawet, nie bawił się w miłość, zajęty pracą, zdobywaniem sobie stanowiska i chleba; w późniejszych latach umiłował swój zawód i naukę do tego stopnia, że nie pomyślał nawet o żonie.

Dla Haliny jak i dla wszystkich zresztą, było to tajemnicą; on sam prawie nie wiedział o tem i nie rozbraiał wcale tego uczucia.

Od miesięcy paru, humor doktora uległ zmianie. Stary się jakoś rozweselił, coś go rozgrzewało widocznie. Zauważyła to pani Klotylda, ucieszyła się Halina. Spędzali z sobą długie godziny, uczyła się wielu rzeczy, czytali razem, i przyjazny ten stosunek, jak i serdeczna troskliwość matki, pierwszą, gwałtowną jej boleść w cichy zamieniły smutek.

Rozmawiali obecnie o ważnej kwestyi. Chodziło o wywiezienie Bielowskiego zagranicę na zimę i doktor zawyrokował, że dobrze byłoby, aby parzyce lekarze zobaczyli chorego.

— Mogę się mylić — mówił, poruszony przedmiotem rozmowy. — Nie radbym na swoją głowę brać nadal kuracyi. Stary jestem, zacołany, nauka się rozszerza, kombinuje, docieka... W medycynie, jak i we wszystkim, nastąpił nowy zwrot... Oni tam, na katedrach, w samym jądrze cywilizacji, wiedzą przecież więcej odemnie. Trzeba próbować. Czasem drobnostka wiedzie do nowych odkryć...

Halinie rozgorzały oczy.

— A więc jedziemy, doktorze—zawołała. — Mama bezwątpienia przyjmie projekt z radością. A powiem ci szczerze, że podwójnie się z niego cieszę... Mama bardzo mizernie wygląda... Podróż, zmiana miejsca, przedewszystkiem isierka nadziei, to wszystko razem, dobrze jej zrobi. Nieprawdaż?

— No tak, istotnie... ale—doktor zająknął się.

— Jakież jest „ale“ doktorze? — podchwyciła żywo. — Gdy o zdrowie ojczulka idzie jakieś tam „ale“, nie może mieć miejsca.

— Powoli, powoli, moja panienko—doktor patrzył z przyjemnością na rozrurzoną dziewczynę. — Nie mam nic przeciw projektowi, radbym owszem umożliwić szybkie onego wykonanie. Moje „ale“ jest w tem, że nie dasz sobie pani rady w Paryżu. Matka, choćby chciała, pomódz ci nie potrafi.

Halina zamyśliła się.

— Weźmiemy Piotra—rzekła.

— Piotra? No tak! Piotr się przyda, gdy trzeba będzie chorego przenieść z kanapy na łóżko na przykład—rzekł, śmiejąc się doktor. — Ale po za tem...

— Więc co robić? Co robić? — pyta już z desperacją Halina. — Jechać trzeba.

— Jest sposób—rzekł doktor zwolna. — Słyszałem, że ten pocziwy Rolski wybiera się także do Paryża.

Halina drgnęła. Ciemny rumieniec, który rada by ukryć, oblewa jej twarz.

— Więc cóż z tego?—mówi zmieszana. — To nie polepsza kwestyi...

Doktor uśmiechnął się dyplomatycznie.

— Ja przeciwnie sędzę—odparł. — To ją zupełnie upraszcza. Rolski byłby wielką dla pań pomocą.

— Nie możemy przecież wymagać, aby pan Rolski czas swój nam poświęcał—broniła się żywo Halina.

— Kiedy-by to można wszystko pięknie ułożyć — rzekł wprost już doktor. — Czy ty, drogie dziecko, nie myślisz o tem, że trzeba by nareszcie wynagrodzić tego wytrwałego Rolskiego? Dali-bóg! on więcej już wysłużył niż Jakub o swoją Rachelę. Wart nagrody.

Halina spuściła oczy. Rumienila się coraz więcej, doktor się uśmiechał.

— Nieźle idzie—mruczy do siebie,—wcale nieźle. Panienka nie bez racyi raki piecze.

— No, i jakże? — pyta po chwili. — Doprawdy, niema się nad czem namyślać.

— Żartujesz, doktorze— rzekła Halina powoli. — Zapomniałaś chyba ile mam lat... Nie pora już o małżeństwie myśleć.

Doktor spojrział na nią. Wyglądała bardzo młodo, wiotka i szczupła, z bladawą, drobną twarzą.

— Ile masz lat? Dali-bóg, nie wiem—mówi dr Olski, bystro patrząc na nią. — Nie dałbym ci więcej, niż dwadzieścia, i to pod strachem; wierząc mi dziecko, że pod strachem,

Roześmiała się.

— Otóż to kochające oczy—rzekła. — Nic nie widzą... A ja istotnie bardzo już stara jestem. Skończyłam w Maju lat...

— Cicho, cicho—szepnął z komicznem przerażeniem doktor. — Co mi tam do tego! Jesteś młoda, ładna, miła i dobra dziewczyna i dali-bóg, gdybym był młodszy, odsadziłbym Rolskiego jak kota od mleka. Ot widzisz! Niechający wypaplałem się... Ale to ty winna jesteś, Halko. Po co mię było ciągnąć za język...

Zartował, ale w jego oczach, pełnych energii, odbił się promień głębokiego uczucia.

— Serce się nie starzeje, panienko—dodaje na pół żartem. — Nie dostaje zmarszczek, jak zdradziła twarz, i nie kłóci się z siwemi włosami... Ha! cóż robić! Ja łatwo się pocieszę, moja panienko, ale Rolski? Z nim-by trzeba koniec zrobić... Złoty chłopiec!

— Nie mówmy o tem, doktorze—odparła Halina stanowczo, uważając oczywiście za żart wszystko to, co doktor mówił o sobie. — Chociaż wyglądam młodo, jak to pan łaskawie zauważyłeś, nie zmniejsza to liczby lat, które już przeżyłam... Zapóźno, zapóźno teraz o tem myśleć, kochany doktorze—dokończyła z uśmiechem. Ktoby zresztą ojczulka pielęgnował... Nie mogę brać na siebie innych obowiązków nad ten, który mam względem niego.

Doktor długą chwilę patrzył na chorego.

— On sam pragnął tego z całej duszy — szepnął po chwili jakby do siebie. — To było jego ostatniem marzeniem. Ileż razy mówił o tem ze mną...

Umilkł wzruszony wspomnieniem, Halina, ze łzą w oku, wyszła śpiesznie z pokoju. Pani Bielowska tymczasem witała w salonie przybyłego

w odwiedzinach Lucyana. Była mu zawsze serdecznie rada i szczerze dopomagała do przewyciężenia uporu Haliny.

Po chwili nadszedł doktor. Uśmiechał się, witając z Lucyaniem i ucałował serdecznie rękę p. Bielowskiej. Miał dla niej teraz szacunek i sympatyę, widząc, jak cierpi i żałuje.

— Dobrze, żeś pan przyjechał — mówi do Rolskiego zacierając ręce z zadowoleniem. — Sądzę, że będziecie mogli wkrótce wyjechać kochani państwo. P. Halina wcale się nie domyśla, że ułożyliśmy spisek przeciwko niej... A no, trudno! Z upartymi pannami inaczej nie można...

Śmiał się, oczy Lucyana patrzyły na niego z nienasładowanym uczuciem, pani Klotylda złożyła dłonie.

— Masz coś dla nas dobrego, doktorze? — pyta żywo. — Mów-że, mów odrazu. Bóg-by dał, gdyby się namysliła.

Doktor wciąż się uśmiechał.

— Nie nie wiem... — mówi. — To już nie moja rzecz... Czy to ja się mam żenić? Niechże pan Lucyana... tego. Panna Halina jest w ogrodzie.

Rolskiego już nie było w pokoju. Znając ulubione miejsca Haliny w ogrodzie, z łatwością trafił do niej.

Siedziała cicho, zamyślona, pod cieniem rozłożystej lipy, z oczami w ziemię spuszczone.

Zarumieniła się gwałtownie, gdy Lucyana stanął przed nią.

— Witam pana — rzekła, wyciągając do niego rękę, wciąż onieśmielona. — Nie wiedziałam, że pan przyjechał...

Lucyan nie pościł już ręki, pochylił się ku Halinie i głęboko zajrzał jej w oczy.

Przykre milczenie zapanowało pomiędzy nimi. On radby mówić i lęka się... ona przeczuwa to i sama nie wie, co się z nią dzieje. Gdy po rozmowie z doktorem siedziała tu samotnie, rozmyślając nad tem co jej powiedział, uczuła coś takiego, co ją zastanowiło a potem oburzyło na siebie samą.

Zdawało jej się zawsze, że tak kochać, jak ona kochała Stanisława, raz tylko w życiu można a tymczasem...

Więc jakież to jest uczucie, które od pewnego czasu zmieniło bieg jej myśli, przenikało dziwnym niepokojem serce, oblewało rumieńcem twarz, gdy Lucyana zbliżał się ku niej...

Czyniła sobie wyrzuty, przywoływała chwile spędzone niegdyś ze Stanisławem i ze zdumieniem odkryła w sobie, cały świat nowych marzeń i pożądań. Była już kobietą w tym okresie wieku, kiedy tęsknić się zaczyna za własnym ogniskiem. Mimowolnie westchnęła, myśląc o tem, że dla niej, wszelkie rozkosze podzielonego z kimś życia, nie istnieją.

I wtedy - to obraz Lucyana zjawiać się zaczął w jej pamięci coraz częściej, dłużej, bywały chwile tęsknoty, gdy nie przyjeżdżał, lęku, gdy się zjawiał niespodziewanie.

Broniła się wszakże, o ile tylko mogła. Za nic nie chciała, aby Lucyana, który wiedział przecież o jej miłości dla Stanisława, odkrył teraz budzące się dla niego uczucie. Zdawało jej się, że ją to bezwiednie upokarza.

Dziś, po rozmowie z doktorem, była więcej niż kiedykolwiek, w rozterce sama z sobą.

Serce gorąco domagało się praw swoich, fałszywe o rzeczy pojęcie kazało mu milknąć...

Na pięknej zawsze twarzy Haliny cały proces myśli można było wyczytać. Rolski już się tego nauczył i teraz też patrząc na nią, taką spłonioną i drżącą, wiedział co o tem sądzić. Ale mu ta chwila, ten przedsmak rajskich rozkoszy, wydała się upajającą. Umyślnie ją przedłużał, coraz mocniej ściskając rękę Haliny, coraz głębiej patrząc w oczy...

— Kocham i wielbię cię... — rzekł wreszcie porwany wzruszeniem — i kochać będę, dopóki uczucia ludzkie nie zamrą w mej piersi. Odkąd cię poznałem, Halino, ty jesteś jedyną kobietą, którą kochałem... Tylem ci winien... Dobroczynny twój

wpływ nie opuszczał mię ani na chwilę. A ponieważ kocham cię nad życie własne, pozostawiam ci całkowitą swobodę. Zrób ze mną co chcesz, jak ci serce wskaże i choćby mię strawić miała za tobą tęsknota, nie poskarżę się, byleś ty była spokojna, byle ci oszczędzić cierpienia. — Wzruszenie głos mu zatamowało; Halina drżała, wobec tego potoku słów gorących, które trafiały do jej serca.

Rolski ukląkł przed nią.

— Duchu mój dobry — szepnął — aniele stróżu, któryś mnie nie odstępował i drogą prawdy prowadził... Jam się hartował, patrząc na ciebie, wytrwała i mężna wobec cierpienia, z którego własną siłą podźwignąć się umiałaś.

Gorące łzy spadły z oczu Haliny. Jak on ją może tak kochać, skoro wie, że ona kochała innego i widział przecież łzy jej i rozpacz... Czyżby mógł uwierzyć, że po takiej miłości, znajdzie się jeszcze miejsce w jej sercu? Wstyd ją zdjął ogromny, czuła się upokorzona do głębi.

— Zawstydzasz mnie, panie Lucyanie — rzekła wreszcie podnosząc na niego swoje piękne oczy. — Chciałabym być mężną i wytrwałą, ale niestety, wcale taką nie jestem. Teraz, więcej aniżeli dawniej, umiem tylko płakać i narzekać...

Mówiła prędko, ze sztucznym jakimś ożywieniem, byle jak najdalej być od przedmiotu, o którym rozmowa toczyła się przed chwilą.

Lucyan to zrozumiał, ale nie dał za wygraną.

Już teraz nie myślał ustąpić. Usiadł przy niej, twarz jego przybrała wyraz uroczystej powagi.

— Panno Halino — rzekł powoli, nie zdejmując z niej gorącego wejrzenia — czy... czy pani pozwoli powtórzyć raz jeszcze to, co wypowiedziałam przed chwilą? Kocham panią i błagam, abyś żoną moją została. Tak długo czekałem!... Czyż w sercu twojem nie ma ani iskierki uczucia dla mnie? Choćby litościł... tę - bym nawet przyjął od ciebie, bom pewny, że posiadając cię nareszcie, uczynię wszystko, by życiowość twoją pozyskać. Powiedz że mi nareszcie dobre słówko Halino: powiedz, proszę...

Głos mu drżał i przeląkł się. Twarz siedzącej obok niego kobiety bladą była i smutną. Przypomniała mu, że raz już widział ją taką wówczas, kiedy po raz pierwszy wypowiadał jej swoje uczucia.

Czyżby się ludził? Czyżby i domysły pocziwego doktora zawiodły?

Łagodny głos Haliny przerwał jego zadumę.

— Nie wiem, co mam panu odpowiedzieć — ozwała się, śmiało już teraz patrząc na niego. — Pan, pan wiesz najlepiej, że ja — niegdyś kochałam i... — zawahała się, rumieniec oblał twarz, wprędce atoli zapanowała nad sobą i kończyła szybko: — Nie mogłabym przecież przyjąć miłości twej, panie Lucyanie, takiej wiernej, trwałej miłości — dodaje z anielskim uśmiechem — skoro nie mogę odwzajemnić ci się takim samym uczuciem. Wszak mię pojmujesz, drogi przyjacielu?

Lucyan poniósł jej rękę do ust i całował zaczął.

— Przeszłość twoja nie należy do mnie, ukochana — odpowiedział tklawie. — Gdybyś kochała Stanisława, nie ośmieliłbym się mówić z tobą o twej miłości. Poeci twierdzą, że raz się tylko kocha... Nie wierz temu. To zbyt idealne pojęcie! Są rozmaite rodzaje miłości i nie ma prawie człowieka, któryby mógł dowiedzieć, że serce jego nie drgało kilkakrotnie a z drgnień tych dopiero, trwalsze, silniejsze uczucie prowadzi do ołtarza. Halu, najdroższa moja, skoro ja nie jestem zazdrosnym i wymagam odrobinę na teraz twej sympatii, pozwól mi być zarozumiałym tak dalece i wierzyć, że później zdobędę coś więcej... Nie jesteśmy już dziećmi najdroższa, i wiemy czego chcemy. Będzie nam dobrze z sobą, zobaczysz!

Nie wątpiła o tem. Promień dawno niewidzianego wesela, zamigotał w szafirowych oczach młodej kobiety.

— A cóż będzie z moją metryką? — spytała figlarnie. — Jestem już bardzo stara. Czy... czy pana to nie przestrasza?

— Nie a nie! — odparł, zabierając sobie i drugą jej rączkę. — Widzę nawet srebrne nitki w przepysznych warkoczach...

— I zmarszczki na twarzy... — dodaje wesoło Halina.

— Gdzie? — Lucyana uśmiechając się przerażonego. — Czy istotnie są zmarszczki? — pochylił się i nieprzepartą siłą pociągnęła go ku jej pełnym, różowym ustom.

— Żoneczka moja — szeptał. — Jedyna i ukochana! Ach, jakim ja szczęśliwy, Halino.

Bezmiar uczucia był w jego oczach, brzmiał w głosie i byłby oddał wiele, gdyby te piękne usta kochanej kobiety dały mu pocałunek.

Spłoniona Halina uchyliła głowę na jego pierś, on, już więcej wymagać nie śmiał.

Lipa szumiała nad nimi łagodnie, deszczem wonnego kwiecia sypiąc wokół.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z WŁOCH.

Rzym jest miastem, które z żadnym innym porównane być nie może. Gdy lato skazuje wszystkie inne stolice Europy na głuchą ciszę i zanik wszelkiego ruchu, tu fale ludzi przepływają nieustannie, dążąc jak do miejsca, gdzie serca znajdują i ukrzepienie, jakie wiara daje ludziom. Pielgrzymka amerykańska zapełniła tu w sierpniu ulice wiodące do Watykanu, gdzie Ojciec Święty dał im posłuchanie i przemawiał bardzo wznieście o znaczeniu wiary jako środka, rozbudzającego w piersiach ludzkich najdoskonalsze podniesienie się po nad istnienie materialne. Dążąc za tym ideałem, który człowiekowi przedstawia Bóg, przebyli oni ocean, przeniesli trudny długiej podróży, aby podnieść sobie serca uczuciem, które krzepi i umacnia, daje panowanie nad żądzą materialnego używania, pragnieniem materialnych korzyści. Leon XIII jest mową niepospolitą i umie wzruszać serce słuchaczy, a pióro jego tworzy rzeczy nie mniej podniosłe; modlitwa, którą ułożył po łacinie dla Węgrów do ich patrona, S-go Stefana, błagająca o szczęście dla ziemi ojczystej i ludu, który ją zamieszkuje, zaliczać się może do dzieła poezji, chociaż nie wyraża się mową wianą.

Był tu ustęp odnoszący się do kobiety. Nietylko matka kształci serce człowieka przez wychowanie; miłość jaką budzi w sercu mężczyzny, podnosi go, albo poniża w miarę jakim jest to uczucie. Włoszka, brana na ogół, ma w piersi serce bijące gorąco, kocha Włochy silnie, a wyobraźnia jej żywa nierzadko bierze lot górny. Królowa Małgorzata jest szlachetną przedstawicielką nowożytnej rzymianki; podniesienie sztuki, literatury włoskiej zajmuje ją gorąco, a zna się na tem, co jest piękną prawdą. Wielbicielek Leopardiego, urządziła konkurs z nagrodą złotego pióra, wysadzonego sześćdziesięcioma rubinami, za studya nad utworami tego poety, a krąży po Rzymie pogłoska, że zabiera się sama do tej pracy, przecież po za konkursem, dodać zaś trzeba, że pani ta jest poetką, tworzy rzeczy niepospolite, lecz nie drukuje nic, co jest rzeczą naturalną w jej położeniu, bo krytyka musiałaby z konieczności pozostać niema.

Lato pani ta przepędzała w malowniczej, od ruchu wielkoświatowego oddalonej, bardzo wdzięcznej miejscowości górskiej, Gressoney, gdzie już przebywała i poprzedniego roku. Właściciel jej, baron de Pecos, człowiek niezmiernie bogaty, posiadający obszerne dziedziny tej górzistej okolicy z niebotycznymi już wyżynami, odstąpiwszy jej piękną willę swoją z bogatymi zbiorami sztuki, z biblioteką bardzo cenną, nie chciał, naturalnie, przyjąć za to żadnego komornego, ale król nie godził się znów na to i przystać musiał na umowę, że za każdy pobyt królowej weźmie 15.000 lirów, bo w przeciwnym razie pani ta szukać-by sobie musiała innej w tych okolicach siedziby.

A nie łatwo znalazłaby się podobna. Królowa prześiadaje godziny całe w oknie, z którego widok jest przepiękny: bystry, huczący potok

le Lys wartko z góry w dół leci, jakoby żywa jakaś istota, za czemś goniąca, a brzegi wzgórzyste, w kształtach swych rozmaite, tworzą przepyszną panoramę, i kiedy w niedzielę ludność okoliczna dąży tamtędy do kościoła, wytwarza się widok, jaki niełatwo znaleźć, bo wszystko to są górale w ubiorach malowniczych, lud pobożny i uczciwy, kochający silnie Włochy i króla, więc i królową, która zachwyca ich swoją dobrocią, przystępnością swoją, a dodać trzeba, że przybrała ubiór miejscowych kobiet. Wychodząc ma zwykle na sobie krótką katankę z karmazynowego sukna, w której mówiąc nawiasem, bardzo jej ładnie; podczas całego nabożeństwa klęczy, a gdy po skończonej mszy wychodzi na plac przed kościołem w towarzystwie wielkiej ochmistrzyni dworu, magraby de Villamarina i podkomorzego, który jest na służbie, ludność ciśnie się do niej, a dodać trzeba że na znak przywiązania, jakie okazać jej pragną, każdy jest na jej cześć strojny w stórkótkę i nieobliczona ilość tego kwiatu królowej rozwija się we Włoszech do słońca.

Wieczorem jest tu co niedziela iluminacya, wszystkie okoliczne wzgórza płoną blaskiem zapalonych na nich stosów a dwory, chaty, wywieszają na podsieniach kolorowe weneckie latarki i widok to, jaki trudno sobie wyobrazić. Królowa, która odczuwa silnie piękno przyrody, odbyła podróż w góry, do lodowce Lisioch, błyszczącego w promieniach słońca na wysokości 4.200 metrów; że zdrowo jest i mocna, przodowała wyprawie jadąc konno w towarzystwie miejscowego właściciela ziemskiego, barona de Pecoz, który nagle zbladł, przycisnął rękę do piersi i spadł z konia martwym trupem. Okrutny ten wypadek boleśnie dotknął królową, ale pani ta mężna jest i umie panować nad sobą, nie zasłoniła też oczu, nie uciekała od bolesnego widoku i towarzyszyła zwłokom do Gressony, następnie uczestniczyła w pogrzebie.

Eyl to pan szlachetny, rozciągający opiekę nad okolicznymi góralami; pogrzeb odbył się przy wielkiem zgromadzeniu ludności płaczącej, szlochającej, między którą królowa wchodziła, pocieszając, że będzie usiłowała zastąpić jego miejsce. Nagrobek, który kosztem tej pani wykute w marmurze najpierwszy dziś wśród sztukmistrzów włoskich rzeźbiarz Maccari, który zawezwanym też został przez Ojca Świętego, aby wykuł w białym marmurze karraryjskim jego sarkofag, będący już obecnie na ukończeniu. Na wieku spoczywa lew, który potężną łapę położył na potrójnej koronie papieskiej, z prawej strony stoi postać niewieścia spokojna, poważna, z pochodnią w prawej, z księgą Pisma Świętego w lewej ręce, a jest to Wiara, z drugiej strony Prawda oparta na tarczy z herbem rodziny Pecci. Ponad lwem wyrzyty na marmurowej tablicy napis, który skreślił sam Ojciec Święty: „Tu Leon XIII Papież jest prochem...” a napis to w treściwości swojej przenikający, bo określa najdokładniej co po za duchem człowieka staje się z nim. Ludzie jednak pragną wydrzeć nicości te kształty jego widome, jeżeli okrywały szlachetnego ducha i ma tu stanąć wkrótce na Via Regia pomnik angielskiego poety, Shelley'a, który znalazł śmierć w morzu. Byron wydobyte zwłoki spalił a popioły przewiózł do Rzymu, gdzie obecnie pamięć jego uwieczni się w marmurze karraryjskim.

Plan jeszcze nie skreślony, ale komisya pomnika udała się już w całym składzie swoim do łomów marmuru w Karrarze; kto przecież zajrzy tam raz jeden zawołać niemal musi, aby dla uczczenia pamięci tych którzy są lub byli wielkimi, nie wydawać na ofiarę tych maluczkich, którzy też są ludźmi, czują, cierpią. Niemiecki jeden podróżnik, który zwiedzał marmurołomy, zawołał w uniesieniu, że Dante w swoim opisie piekieł nie wszystkie jeszcze męczeństwa człowieka oglądał. Tu jaskrawe światło włoskiego słońca oslepią wzrok odbijając się o płyty białe, gdy pył ostry zasypuje oczy i przeciska się porami przez skórę, a dokoła łoskot rozbijanych młotami marmurów, zgrzyt dłut, które go wiercą, i miesza się z tem niejednym jęk ludzki, niejedno stęknienie jak gdyby ostatnie, i ryk wołów, ćwiczonych batem, gdy wozu poruszyć nie mogą.

Tradycya utrzymująca się między robotnikami obwieszcza, że dawniej, skoro kto z robotników został skaleczony, lub powalony śmiertelnie odłamem marmuru, uderzano w dzwon, a gdy dźwięk jego złowieszczy rozległ się w powietrzu, kobiety, dzieci, starcy, biegli przerażeni z bladymi jak trupy twarzami, aby się dowiedzieć kto został zmiażdżony przez bryłę leącą nań z góry i czy jeszcze żyje, czy się wije w boleściach, czy już oddał Bogu ducha? Dwa tysiące lat trwa już ta zabójcza męka ludzka, ten czyściec, z którego przecież duchy nie wychodzą obmyte z win przez cierpienie, bo tu cierpienie to zbydłęca, odurzając więc, człowiek nie może znieść takiego przygnięcia i jeżeli nie zdobędzie się na to, aby się z pod niego wydostał, stanie się automatem albo zdziejeje, bo on męczennik staje się naodwrot katem tych stworzeń biednych, które głuchym rykiem tylko cierpienia swe objawiają. Wywóz bloków marmuru odbywa się na wozach, blok taki, mający pięćdziesiąt metrów kubicznych objętości, ciągnie sześćnaście wołów, tuman kurzu go otacza—gryzącego oczy, ostrego pyłu kamiennego a w tyle dla utrzymania równowagi wisi na długim łańcuchu, służąc jako hamulec blok ciężki, nieraz też woły odmawiają posłuszeństwa i wóz nagle staje a wtedy to zaczyna się rzecz okrutna. Poganiać nie biją już, ale kłują nieszczęśliwe zwierzęta końcami okutych żelazem kijów swoich, ostro zakończonych, krew płynie, lecz na koniec wóz rusza, toczy się skrzypiąc i ludzie odwracają instynktownie oczy, skoro wóz taki spotkają na drodze.

Obraz to tak okrutny, że zdaje się jakby widzeniem gorączkowym, a jak psują się dusze ludzi, którzy dla kawałka chleba biorą udział w tym barbarzyńskim dziele! A mamy tu niemało takich wpływów zniżających w rozmaitych kierunkach; teatr, który jest dla Włoch wszystkich stanów jakgdyby dodatkiem do życia, nie stanowi bynajmniej dobrej szkoły uczuć i polotów wyobraźni. Jeden z dyrektorów teatralnych, Justynian Drago, ogłosił w gazetach bardzo smutną statystykę sztuk, jakie mu nadesłali autorowie w ciągu roku. Było ich sto dwadzieścia siedem, jakiej treści dość powiedzieć, że figurowało tam trzysta piętnaście osób okrutnie zamordowanych, siedemdziesiąt osiem dziewcząt młodych, straconych w przepaść nędzy moralnej, kat stracił na scenie dwudziestu pięciu zbrodniarzy, a stu dwudziestu pięciu złodziei i fałszerzy testamentów figurowało jako osoby główne, *nervus rerum* tych wstrętnych dramatów. W ogóle stan moralny Włoch nie jest bynajmniej zadawalniającym, ale to skutek smutnych tych czasów, w których życie płynęło tu nienormalnie.

Przecież zabłyśnie tu od czasu do czasu jakiś czyn piękny. W Genui, w domu Verdi'ego, jest odzwierciły już niemłody, mający żonę, dzieci a nawet wnuków kilkoro; że nie jest to człowiek bogaty, łatwo przypuścić, a przecież szlachetnie odrzucił od siebie wielką fortunę, opierając się pokusie, która sofistycznie obalamucić mogła jego prawosć. W czasie nieobecności Verdi'ego służyła się tak rozbiegła, bo było to święto jakieś, że złodzieje dostali się do mieszkanka, poodbijali zamki i zabrali kasetkę ogniotrwałą, gdzie mieściła się w papierach wartościowych summa znaczna, stanowiąca już majątek. Gdy schodzili z butą zuchwałą, bo ich było trzech, odzwierciły spostrzegł ich w bramie obladowanych łupem i rzucił się na nich sam jeden z gołemi rękoma, a choć jeden z pomiędzy nich wycelował do niego z pistoletu, trzymając palec na kurku, on odważnie nie przestał krzyzczeć, zastępując im drogę. a choć uciekli, zanim nadbiegła pomoc, porzucili na schodach wielką, żalazną kasetkę, którą on podniósł i mógł sobie przywłaszczyć, unosząc do izby swojej i tłómacząc się sofistycznie przed sumieniem, iż to przecież jedynie on ją ocalał z narażeniem życia, ale uczciwy człowiek nie tylko tego nie uczynił, ale nawet nie przyjął od Verdi'ego nagrody trzechset lirów, co stanowiło dla niego majątek.—Będę ja i bez tego żył... odpowiadał ludziom i gniewało go to, iż dzienniki rzecz podniosły jako czyn szlachetny.—Czyż to ubogi człowiek ma być zaraz złodziejem?... odpowiadał ludziom dumnie.

Włochy poniosły znaczną stratę w zakresie pamiętek historycznych. Starożytny zamek Cattaja w Bataglii pod Padwą, stał się łupem ognia, a nosił on wybitne piętno czasów, w których powstał. Zbudowany w XIII wieku, przedstawiał stylem swoim historią swego wzniesienia, którą podanie przechowało. Marco Polo, którego kroniki Włoch przedstawiają jako pierwszego europejskiego podróżnika, który dostał się do głębi Azji i dwukrotnie tam przebywał, przywiózł ze sobą, obok wielu przedmiotów ciekawych, rysunek gmachu, który był siedliskiem jakiegoś tatarskiego mirzy, a wedle którego margrabia Piodegli Obizzi, zbudował sobie zamek. Otoczony ogrodami i parkiem rozległym, mieścił skarby starożytnych pamiętek historycznych, bogatą kolekcję zbroi, oraz sztuki średniowiecznej, co wszystko przepadło na raz. Wygasła też i rodzina, której był siedzibą; zamek przeszedł przez kobiety w posiadanie rodziny d'Este, a obecnie stał się stosem gruzów i nie tylko archeologowie uważają to za stratę wielką, bo dobrze jest sercem ludzkim grzać się przy ciepłym wspomnieniu szlachetnych.

Wracając do teraźniejszości należy mi zaznaczyć otwarcie w Medyolanie teatru lirycznego, którego pierwsze przedstawienie zgromadziło cały artystyczny i literacki świat Włoch. Wystawiono bardzo świetnie i z doбором najpierwszych muzykalnych sił włoskich operę kompozytora Samary „Męcennicy“, a że i libretto jest bardzo poetyczne i podniosłe, uznanie było wielkie. Zapowiadają tu nową operę sędziwego maëstro, Giuseppe Verdi „Ugolino“. Temat ten zaczerpnięty od Danta, każe się spodziewać treści wielce dramatycznej; Verdi umie niejako zwyciężyć wiek, bo talent łączy się tu z naturą gorącą, która zdołała przechować iskrę natchnienia pod popiołem lat przeżytych. Do rzeczy, które dostarczą świeżych tematów muzykalno-poetycznych, zaliczyć trzeba zebrane i wydane przez profesora literatury w Cagliari, Belloroiniego, ludowe pieśni miłosne „Canti popolari amorose“, o których treści doniosę wam w liście przyszłym.

August.

Zarys wybrzeża Abbazyi.

Piękny krajobraz, łagodne niebo, różnorodny świat roślinny, szafrowe morze, wszystko to istniało i dawniej na austriackim wybrzeżu Adryatyku; brakowało tylko urządzonych zakładów, które mogłyby dostarczyć ludzimi wygod, do jakich przywykli. Znany ze szczegółowych opisów Abbazyi, Noë, jeszcze przed dwunastu laty wyraził się w jednym z najpoczytniejszych dzienników wiedeńskich: „Ceterum censeo—a zatem twierdząc,—Abbaza nad zatoką Quarnero będzie w przyszłości celem podróży przedsięwziętych pod hasłem przemennie wskazanem. Czem jest Brighton dla Anglików, tem dla Wiednia stanie się Abbaza, ze swemi wawrzynowemi lasami i oliwnymi drzewami, nad pięknym wybrzeżem. Na wiosnę różnicy klimatu wspomnianej zatoki prawie się nie odczuwa, w porównaniu z temperaturą liguryjskiego wybrzeża, a obok tego jaka różnica kosztu i czasu podróży! Z Wiednia, około trzech dni potrzeba na przejazd do liguryjskiego wybrzeża, zaś do Abbazyi wyjeżdża się rano pośpiesznym pociągiem, a wieczorem staje u mety“. Słowa te zwróciły uwagę człowieka, rozporządzającego wszelkimi środkami, które ułatwiły powołanie do życia stacyi klimatycznej, odpowiadającej potrzebie i wymaganiom dzisiejszym. Mówimy tu o głównym dyrektorz austriackiego towarzystwa dróg żelaznych, Fryderyku Julianie Schöler. Po przeprowadzeniu kolei południowej, spostrzeżono korzystne warunki, w jakich znajdowało się to wybrzeże, warunki, nad którymi nikt się dawniej nie zastanawiał.

Wkrótce stanęły dwa obszerne hotele, pobudowano kolejno piękne wille, a życie i spekulacya zapanowały na zielonem wybrzeżu.

Wille i hotele wyrastały jak grzyby po deszczu, a Dryady, strzegące wierzchołków drzew przez długie lata, z westchnieniem zstępować musiały ze swych szczytów, gdy potężne pnie o brunatnej korze padały pod ciosami siekiery.

Abbazyja stawiała się coraz okazalszą. Niejednemu zdawać się może, i słusznie poniekąd, że przed nadaniem jej cech dzisiejszego piękna, więcej była uroczą, lecz, niestety, zwykły to los prawie wszystkich miejscowości w tym rodzaju; — postęp musi mieć swe ofiary! A postęp idzie tu szybkim krokiem; Abbazyja jest na najlepszej drodze, siłą swą przyciągającą obejmuje coraz dalsze kręgi i stanie się pierwszą stacją klimatyczną dla całego wykwiętnego świata.

Pobyt w Abbazyi, na wiosnę, dworu cesarsko-niemieckiego zdaje się wróżyć jej jaknajświeższy rozwój. Szczęśliwym bardzo pomysłem było nabyć przez towarzystwo południowej kolei od niejakiego pana Scarpa, rozległego parku, w którym znajduje się willa angielska, zajęta w tym roku dla rodziny cesarza niemieckiego. Przez ten nabytek ocalono od zagłady rozległą przestrzeń, odznaczającą się nadzwyczaj bogatą roślinnością. Wspaniałe, cieniste szpalery, trawniki kwietnikami zasłane utrzymane są tu we wzorowym porządku, a towarzystwo kolei południowej w ogóle usiłuje zabezpieczyć od zniszczenia ozdoby lasów i ogrodów.

Pod tym względem działalność towarzystwa idzie śladem dawnego posiadacza wybrzeża, opactwa (Abbatia) — zkaąd pochodzi nazwa Abbazyi, które, wbrew zwyczajowi miejscowemu, otaczało troskliwą opieką lasy drzew myrtowych i laurowych. Dzięki temu mogła powstać tak uroczą i wspaniałą stacją klimatyczną.

Willi Amalia, tak zwana od imienia żony dyrektora Schülera, zamieszkiwana w tym roku przez cesarza i cesarową Niemiec, oddalona o trzydzieści kroków od poprzednio wymienionej Willi Angiolina, a w wyższym nieco od niej położeniu, otoczona jest wokół zielenią i kwiatami; w stronie południowo-wschodniej, w odległości pięciu lub sześciu metrów, uderzają morskie fale o skaliste wybrzeże. Tu rosną na brzegu morskim wysokie kiście rośliny spartium, a w wielu miejscach wybrzeże, wpośród skalistych brył, solnym pyłem pokrytych, przedstawia się jakgdyby obramowane zielenią — na podobieństwo rzeki, płynącej pomiędzy sitowiem. Wprost okien willi, obok niskiego kąpielowego domu, wznoszą się wysokie pędy trzciny, dostarczając oczom widza przyjemnego widoku. Trzciny te są nieomylną cechą strefy południowej. Gdy się patrzy na nie, pomimowoli myśl się przenosi w czasy sielankowych poetów starożytności oraz poetycznych pasterzy, wyrabiających z tej trzciny fujarki. Willi Amalia przedstawia się bez porównania poważniej i wspanialej, niż skromna jej sąsiadka, lecz położenie tej ostatniej jest bardziej malownicze. Duże drzwi wchodowe prowadzą po kilku stopniach na taras półkolistego kształtu z widokiem na morze od południowo-wschodniej strony; oleandry i laurowe drzewa zasłaniają i otaczają taras z obydwóch stron. Na małym wzgórzu wznosi się tak wspaniała agawa, jaką widzieć można tylko a wybrzeżach Morza Śródziemnego w miejscowościach położonych najbardziej na południu. Morze nie łamie się szeroko a płytko, w stopniowo zniżających się pienistych liniach, po nad powierzchnią szlamową, lub piaszczystą, łagodnie sfalowaną, lecz fale silnie pracują, uderzając o bryły i odłamki skał, rafa i ostre kamieniste ściany.

Słona masa wód oblewa je, wciska się pomiędzy nie, płynie, szumiąc jak bystry strumień, wraca nazad, łąbi sobie tunele i nadaje fantastyczny kształt skałom.

Adryatyk, a przynajmniej północna część jego, jest zapewne najmłodszym i najpłytszym morzem w Europie; powstało ono po lodowej epoce, z napływu wód morza Jońskiego. O dawnej przeszłości świadczy z jednej strony góra Gargano w Apulii, i wyspa Tremiti, z drugiej strony bardzo skaliste wyspy Dalmacyi, jak również szanice wznoszące się pośród niziny. — Biorąc ten fakt pod uwagę, należy podziwiać potęgę fal, dającą się tu często we znaki. Tłómaczy ją wydłużona oś Adryatyku, którą się ma przed sobą. Linia

przeprowadzona ku południowi, idąca od wysp na zatoce Quarnero, spotkałaby ląd stały dopiero w Apulii. Siła fal była przyczyną, że podczas burzliwej jesiennej nocy 1881 roku brzeg tarasu, po za którym dzieci cesarskie urządziły sobie plac zabawy, częścią został falami załany i zniszczony.

Tu znajduje się również, na kilka kroków od willi, wyróżniający się dąb, który stanowi jedyny okaz, ponieważ nigdzie więcej nie widać na wybrzeżu południowego morza drugiego równie potężnego drzewa, wznoszącego się tak majestatycznie ponad fale morskie.

W dole znajdują się skały opanowane przez wodę, pokryte algami i zielonemi liśćmi porostów. Na piasku widać leżące czerwone jeże morskie wielkości jabłka, i pięcioramienne gwiazdy włożone pomiędzy szpary głazów; słona piana oblewa mięsiste liście morskiej salaty, a dwie lub trzy stopy ponad tem wszystkim wznosi się dąb północy! Takiego zestawienia widzieć nie można na innem wybrzeżu Adryatyku, ani Śródziemnego morza. W niewielkiej odległości od dębu, przytwierdzona jest olbrzymia siatka, rozciągnięta w celu zabezpieczenia kąpiących się od najścia psów morskich; ostrożność ta jednak jest zbyt czułą, i ma na celu jedynie spokój trwożliwych osób, gdyż w rzeczywistości psy morskie nie zapuszczają się nigdy na tak płytkie wybrzeża. W każdym razie siatka bezpieczeństwa obok wspaniałego dębu północy, — są to osobliwości, które tylko w Abbazyi widzieć można; siedząc pod tym dębem i patrząc na morze, spostrzega się kuliste wypukłości na gładkiej powierzchni. Godnem uwagi jest, w jaki sposób masa wód dąży do morza, z gór wznoszących się wysoko ponad jego poziom. Nie, jak zwykle szmerzące strumyki, gwałtownym rzutem, lub w cichym spadku po skalistej ścianie, bieżą wody z zielonych wyżyn, lecz krętymi ciemnymi manowcami.

W dole, głęboko ukryte w cieniu skał, znajdują sobie ujście, którem dążą do ojczyzny wszelkich wód. Niejeden z tych szybów jest prawie tak wielki i szeroki jak trójramienna rzeka Timavus, wypływająca około Tryestu, i już przez Wergiliusza opiewana; inne są tak małe i niewidoczne, że zaledwie w dalekim morzu zetknąć się z niemi można. Wzdłuż całego wybrzeża pełno jest tych źródeł do morza dążących. Gdyby wszystkie wody tych drobnych źródeł zlały się w jedno koryto, potężna rzeka przerzynałaby dziś strome wybrzeże.

Klimat Abbazyi nie jest cieplejszy, niż nad jeziorem Garda, a okolica tu uznana jest za forpoczta klimatu morza, Śródziemnego wysuniętą poza włoską równinę.

Łatwo pojąć, że przesada w pochwałach lub reklamie dla wszystkiego, co nowe, stosowaną była i do Abbazyi. Przez najlepsze okulary nie dadzą się tam nigdzie dostrzedz owe lasy pomarańczowe, — nieodstępny dodatek wszelkich opisów.

Za to drzewo cytrynowe rośnie tu dziko, a Ceratonia (Szarafczyn — chleb Ś-go Jana), pojawia się w najbliższym sąsiedztwie. Kłamstwa mające na celu wprowadzenie w błąd, lub oparte na bujnej wyobraźni, działają wprost przeciwnie, niż by się tego spodziewać można.

Dlatego też należy odsunąć na bok niektóre przesadne opowieści i zdać sobie sprawę, że Abbazyja jest położona dalej ku południowi, nie na piętnaście, lecz tylko na dwa stopnie szerokości geograficznej, niż np. Gratz lub Innsbruck. Zima, jak na Riwierze (co zresztą zdarza się w całych Włoszech), często przypomina się wczesnej wiosnie w nieprzewidywanych a nieprzyjemnych objawach.

Jeżeli przy jednakowych klimatycznych warunkach, jakie przedstawiają Gries w bliskości Bozen, lub Gordonia — Riviera nad jeziorem Garda, Abbazyja większy ma napływ gości, należy to przypisać bliskości morza. Morze ściąga ku sobie, i to nie tylko z powodu malowniczego obrazu jakiego dostarcza oku, lecz również z powodu silnego falowania wód i parowania soli, wytwarzającej naturalną inhalację, i ze względu na różnorodność przyjemnych wrażeń przy zetknięciu się z nim.

W związku z tem wspomnieć należy o najcenniejszym skarbie Abbazyi, którem jest miejsce spaceru nad morzem. Droga przeznaczona tylko dla pieszych, ciągnąca się wzdłuż wybrzeża na

pięć kilometrów, jest idealnie wolną od pyłu. W wielu miejscach trzeba było torować drogę za pomocą rozsadzania skał. Bogata roślinność z jednej strony, szmer fal i staczających się krzemieni z drugiej, przemawiają do podróżnego wzniosłą mową natury.

Przychodzi tu na myśl ustęp z „Czyśćca“ Dantego:

„Liście, pieśniami ptaszak wtórowały szmerem
Podobnym temu, jaki po konarach
Na brzegu Chiassi przelatuje borem,
Gdy Eol na świat wypuszcza Sirokko.“

Droga ta, na cześć zasłużonego dyrektora nosi nazwę: Fryderyka Schülera. Fakt ten jest zaprzeczeniem zdania pewnego Węgra, który, spojrzawszy na ten napis, drwiąco powiedział: „Głupi Niemcy: nie znają nawet dobrze ortografii nazwiska swego największego poety.“

Kto potrafi zająć się badaniem morza, ten, zszedłszy do jednej z małych skalistych zatok, przepełdzi czas w sposób wynagradzający mu stokrotnie braki rozlicznych rozrywek, właściwych innym miejscowościom kąpielowym. Bezustannie zmieniające się oświetlenie nadaje morzu pozór ruchliwego zwierciadła, i stanowi dla uważnego badacza przedmiot nieskończonych wrażeń. Po przejściu sirocco zdarza się sposobność rzucić okiem w zaczarowany świat morskich zwierząt, o niższym ustroju. Oderwane gałęzie wielopromiennych gwiazd koralowych wyzierają z zamokłej morskiej trawy. Na szmaragdowych poduszkach leży prawdziwy morski daktylus, a na piasku, błyszczącym od drobnych odłamków rozbitych skorup muszli, nabrzmiała, wyglądająca jak figa, jasno zielona aktynia. Ryby lubią przebywać w miejscu, gdzie źródło słodkiej wody ze szpar skalistych wypływa. Tuleży naskale, wyrzucona głowa meduzy; błyszcząca, gdy jak rozłożony parasol, płynęła na wodzie, teraz wydartą żywiołowi, wisi rozszarpana w strzępy. W drugim znów miejscu widać tak zwane „patelle“, małe muszle o pojedynczej skorupie, tak mocno wcisnięte w skałę, że zaledwie nożem oderwać je można.

Postępując dalej wybrzeżem ku południowi, widzimy naprawo najwięcej drzew oliwnych, a gdzieś tam rysuje się na horyzoncie wysoki, ciemny cyprys. Niedaleko od wysuniętej w morze skały, na której zbudowano skromny zajazd, otwiera się przed oczami podróżnego widok, mogący się prawie porównać z widokami wybrzeża w Sorrento. A jednak położenie Abbazyi, pod względem malowniczości krajobrazu, traci na porównaniu z innymi miejscowościami tego samego wybrzeża. Bez zaprzeczenia piękniejszą jest Lovrana, wysunięta o sześć kilometrów dalej na południe. Główną przyczyną wyboru Abbazyi na stacją klimatyczną, była, jak wyżej powiedziano, piękność, tak wzorowo zachowanego, dzięki bractwu starożytnego opactwa, lasu wawrzynowego. Tymczasem teraz już daje się odczuwać dążenie do przeniesienia głównego siedliska Abbazyi dalej na południe, a w Lovrana powstała już znaczna liczba zakładów, zajmowanych chętnie podczas sezonu. — Na drodze ku Lovrana znajduje się szukająca podpory i schronienia u stóp skalistego wybrzeża wioseczka Ica, z piękną ulicą portową.

Na wybrzeżu Abbazyi, pomiędzy spadkiem gór a morzem, zawarty jest tylko wązki pasek lądu, dziwić się zatem nie można, że goście tamtejsi, uważając rozpustę przed swemi oczyma, szafirowy obszar morza jako najpojętniejszy cel swych wycieczek. I w istocie przyjeźdźni, po kilku dniach pobytu, przebiegłszy niezliczoną ilość razy wzdłuż całego brzegu morskiego, rozpoczynają wędrówki na sąsiednie wybrzeża i wyspy; skłania ich do tego może niepokój, jaki cechuje w ogóle podróżnych tego wieku; niekiedy pragnienie wiedzy, albo chęć swobodnego odczucia na pełnem morzu z pokładu parowca. Najpierw przychodzi kolej na miasto Fiume, z którego portów gołym okiem dostrzedz można każdy statek przybywający z Abbazyi. Droga z Fiume do Abbazyi prowadzi wzdłuż wybrzeża, około malowniczej Volosca, budującej się tarasowato.

Bardzo zwiędzanym miejscem jest zatoka Buccari w kształcie młotka (wązka cieśnina łą-

cząca zatokę z otwartym morzem przedstawia trzonek młotka). Okolice ta odznacza się oryginalną panoramą. Otoczenie zatoki, odłączonej pozornie od morza, co ją czyni podobną do jeziora w górach, nie ma równego sobie pod względem dzikości.

Możnaby napisać foliały o cudach kroackiego wybrzeża, a dalej wysp Veglia i Cherso. Nie naszym to zadaniem, lecz nie możemy pominąć godnej uwagi osobliwości, jakiej się nigdzie na południu nie spotyka. Na tysiąc czterysta metrów ponad Abbazją wznosi się góra Maggiore, lasem pokryta do samego prawie szczytu, a czterysta metrów poniżej, przy drodze prowadzącej do zachodniej Istrii, stoi znakomicie urządzona gospoda. W pobliżu, jak również i w innych miejscach, na tysamym będących poziomie, opierają się o tego olbrzyma wzniesione bukami i poprzerywane strumieniami płaszczyzny z wybornym powietrzem i cudnym widokiem na lądy i morze.

Zębata kolej, przeprowadzona z tej góry ku morzu, dałaby możność przebycia całej tej drogi w przeciągu pół godziny. Pozwoliłoby to podróżnym rozkoszować się, zarówno świeżym górskim powietrzem, w lesie i na łąkach, jak też półgodziny później pluskać się w morskich falach.

Osiedlenie się na wyżynach, a u podnóża ich letnia kąpiel morska stworzyłaby miejsce kuracyjne, jakiego na świecie niema; wszędzie bowiem jest tylko albo jeden albo drugi z tych warunków. Znajdą się może środki na urzeczywistnienie tego pomysłu, dla ogólnego dobra.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie piszą, iż w tych dniach rozpocząć się mają w Petersburgu obrady nad wprowadzeniem do programu szkół wiejskich nauki rzemiosł, potrzebnych w zakresie gospodarstwa wiejskiego. W tym celu zbierają dane o stanie rzemiosł po wsiach, a to w celu wyjaśnienia, jakie rzemiosła i w jakich miejscowościach są przeważnie potrzebne i czy wpośród miejscowych rzemieślników znajdzie się odpowiednia liczba takich, którzyby odpowiedzieć mogli temu zadaniu? Na pierwszym planie wykładów postawionem zostało kołodziejstwo, kowalstwo, ślusarstwo i bednarstwo. Ciesielstwo będzie uwzględnione, o ile warunki miejscowe i zasoby szkoły na to pozwolą.

— Rolniczy komitet orłowski postanowił opracować program przyszłych związków rolniczych, czyli syndykatów.

— Następcą tronu bucharskiego, Mir-Seid-Alim-Dian-Tiura przybył do Petersburga. Książę ten ubrany jest w malowniczy strój wschodni, towarzyszy mu jego nauczyciel, Osman Buk Karaul Begi. Szach perski nie przybędzie wcale do Europy.

— Komitet obywatelski antycholeryczny miasta naszego postanowił ze względu iż epidemia już wygasa, przeznaczyć stacją izolacyjną na Lesznie na przytułek noclegowy. Gdyby zdarzyły się wypadki choroby, umieszczają się będzie osoby nią dotknięte w takimże zakładzie na Pradze. Komitet obywatelski postanowił wydać z funduszków swoich 6.000 bezpłatnych obiadów w Tanich Kuchniach, z których 3.000 otrzyma uboga ludność

Warszawy, 3.000 także ludność Szmulowizny i Nowej-Pragi.

— W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca ks. Matuszewski, proboszcz parafii Wszystkich Świętych, dopełnił poświęcenia nowego lokalu ochrony dla biednych dzieci i żłobka dla sierot imienia hr. Róży Zamoyskiej, które to zakłady przeniesiono z ulicy Złotej na Zielną. Ochrona przyjmuje przeszło 100 dzieci, a żłobek 10 sierot.

— Obchód jubileuszowy pięćdziesięcioletniej działalności dziekana uniwersytetu warszawskiego, D-r Jurkiewicza, odbędzie się w d. 6 października z inicjatywy i za staraniem Tow. Ogrodniczego. W dniu obranym uczestnicy obchodu zbiórą się w pałacyku Bagatela, z kąd udadzą się całym gronem do Resursy kupieckiej dla przyjęcia tam D-r Jurkiewicza wieczernią składkową. Obok tego w sali posiedzeń Tow. Ogrodniczego zawieszony będzie jego portret obok poprzedniego prezesa J. Aleksandrowicza i dobrodziejów Towarzystwa Józefa Spornego, inżyniera, oraz Tekli Rappackiej.

— Dyrektor muzyczny kościoła archikatedralnego, p. Piotr Maszyński, zajęty jest ułożeniem programu śpiewów w stylu gregoryjańskim.

— Przeszłoroczny budżet kolei wiedeńskiej obok różnych funduszy, przeznaczonych na wsparcie i tem podobne cele mieści 7.963 rs. na pomoce naukowe dla dzieci pracowników kolei. Z tych to funduszy niższą szkoła chłopców w Sosnowicach otrzymuje stałego zasiłku 2.052 rs. oraz na umundurowanie uczniów uczęszczających do szkoły 1.476 rs. Obok tego na pensji prywatnej p. Wozniczkiej w Sosnowicach uczy się 71 dziewczynek, za które zarząd płaci rocznie 2.052 rs. Także pensja dziewcząt w Granicy dostaje rocznej zapomogi 1.476 rs. Szkołka ogólna dla dziewcząt i chłopców we wsi Majaczewie w pobliżu stacji Myszkowa, otrzymuje zapomogi 185 rs., rocznie. Obok wymienionych tu wsparć i zapomóg zarząd kolei otrzymał podanie od kierownika zakładającej się w Sosnowicach szkoły realnej o zapomogę, dla mających się tam kształcić dzieci pracowników kolejowych, co powtórzyło się prośbą pracowników stacji Zawiercie, proszących również o pomoc dla miejscowej szkoły niższej, w której uczą się ich dzieci.

— Popis uczniów zakładu leczniczo-gimnastycznego i atletycznego p. Pieńkowskiego przy ulicy Hortensya odbył się wobec zaproszonych pedagogów i lekarzy. Ćwiczenia składały się z ruchów wolnych, doświadczeń na przyrządach, oraz z atletyki właściwej, która obejmowała siedemnastu uczniów. Najsilniejszym okazał się p. Edwin Stajewski, podnoszący bez wysiłku ciężar 260 funtów, gdy następnie ośmiu jego kolegów udźwignąć mogli 200 funtów.

— W Muzeum rzemiosł zgromadza się licznie w godzinach wieczornych młodzież rzemieślnicza w salach, przeznaczonych do rysunku i pod nadzorem odpowiednich przewodników zajmuje się kopiowaniem, mieszczących się tu wzorów i modeli. Uczęszcza tu również gromadka kobiet, studiujących rysunki tak ręczne jak i techniczne. Zbiory muzeum powiększają się stale tak przez ofiarność publiczną, jak za staraniem komitetu, których dniach otrzymał wspaniałą kolekcję dawnych materyi jedwabnych, wyrabianych w kraju, w fabrykach które obecnie wspomina jedynie historia naszego starodawnego przemysłu, gdy nazwy fundatorów i pracowników na tej niwie zaginęły w pomroce czasu. Spodziewany jest wielki zbiór wyrobów ceramicznych, kosztem jednego z członków komitetu z zagranicy sprowadzony. Biblioteka muzeum otrzymała też wiele dzieł nowych, traktujących sztukę stosowaną w bardzo obszernym zakresie.

— Otwarty w Wiedniu kongres lekarzy jest bardzo czynnie ożywiony, wygłoszono już sto pięćdziesiąt odczytów, a liczba ta nie pozwala na ich streszczenie. Do bardzo zajmujących należał odczyt prof. Baltzmana „o aeronautyce“, który zgromadził wielką liczbę oficerów, uczęszczających na kursa aeronautyki wojskowej, zaprowadzone od pewnego czasu w Wiedniu. Mówca pomieścił tu w streszczeniu wyniki wszystkich badań i wynalazków w zakresie żeglugi nadpowietrznej, wykazując ostatecznie, że sposób kierowania balonami, nad którym tak długo ludzie przemysłiwali, w niedalekiej przyszłości osiągniętym będzie. Wynalezienie aparatu skrzydłowego, dało tym usiłowaniom teoretyczną i praktyczną podstawę i rozstrzygnąć rzecz powinny rządy państw, przez odpowiednie dostarczanie środków.

— Odstąpienie pomnika wzniesionego w przysionku sławnej wieży katedry Ś-go Szczepana na uczczenie odsieczy danej Wiedniowi, odbyło się stosunkowo cicho i bardzo poważnie. Od godziny 9-tej z rana zaczęli się zjeżdżać zaproszeni do katedry, cesarz przybył około godziny dziesiątej, przyjęty w przysionku przez kardynała arcybiskupa; w towarzystwie arcyksiążąt zasiadł na estradzie, wznoszącej się naprzeciwko pomnika, który zbudowanym został z inicjatywy i staraniem zmarłego już kardynała Ganglbaura. Prezesem był ks. Schwarzenberg; wykonanie powierzone prof. Akademii Sztuk pięknych, Hellmerowi, któremu komitet porucił uwydatnienie nie tyle aktu odsieczy, ile obronę Wiednia i wskutek to tego główną figurą stał się tu ówczesny komendant Wiednia, Stahremberg.

Komitet zarządzający

kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia dra medycyny Józefa Mianowskiego.

Ma zaszczyt podać do wiadomości publicznej że z funduszu imienia Józefa Sierakowskiej, znajdującego się w rozporządzeniu Komitetu, będą udzielone zapomogi bezwrotne dla osób pracujących na polu naukowym.

Pierwszeństwo do otrzymania zapomogi będą mieli ci z kandydatów, którzy pochodzą z rodzin podupadłych lub zubożałych obywateli ziemskich gubernii Płockiej, wyznania rzymsko-katolickiego.

Zgłaszający się winni w ciągu trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia przedstawiać, bądź osobiście, bądź drogą korespondencji: a akt urodzenia b wiarogodne poświadczenie, że pochodzą z rodzin podupadłych lub zubożałych obywateli ziemskich gubernii płockiej i c że pracują na polu naukowym.

W razie niezgłoszenia się w terminie wyżej określonym wspomnianych kandydatów, lub w razie nie uznania ich kwalifikacji za dostateczną, pomoc przyznana będzie osobom innym, stosownie do uznania zarządu Kasy.

Prezes komitetu Antoni Okolski.

Członek komitetu, sekretarz Stanisław Libicki.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się powieść p. t. Mamona, przez Mrs Aleksander przekład z angielskiego, ark. 11.

TREŚĆ: Kobieta w domu i rodzinie, przez M. I.—Dwie noce, przez Selima. — Pogawędka, przez ?? — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg).—Z Włoch, przez Augusta.—Zarys wybrzeża Abbazyi.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Mamona, przez Mrs Aleksander, przekład z angielskiego. Arkusz 11-ty.—Przegląd mód.—36 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja stołu.